

Żyćcie dobrze

AUTOR: ANETA GŁOWACKA

W najnowszej sztuce artyści zajmują się wspólnotą, sugerując, że wspólne działanie i pozytywna energia mogą uchronić przed pesymizmem i przynieść dobre rezultaty.

■ W opublikowanej krótko przed premierą rozmowie w „Dwutygodniku” Paweł Demirski zapowiadał, że nowy spektakl będzie czymś w rodzaju „psychicznego kocyka”, którym twórcy chcą otulić publiczność, „pochuchać na rany”, zapewnić, że jest możliwa rzeczywistość odmienna od katastroficznych wizji, zarówno tych projektowanych przez media, jak i tych, które fundujemy sobie sami, obserwując kryzys uchodźczy, narastanie brunatnej fali i rządy populistów. *Triumf woli* spełnił te obietnice, a jednocześnie odczarował tytuł dotychczas przyklejony wyłącznie do dzieła Leni Riefenstahl, kontrowersyjnej reżyserki, specjalistki od nazistowskich filmów propagandowych. Nowa sztuka Demirskiego nie ma nic wspólnego z twórczością niemieckiej artystki, jakkolwiek również dotyczy projektu wspólnoty. O jej obliczach twórcy mówili nie raz, rozprawiając się z demonami Polski po transformacji ustrojowej. Powątpiewali w możliwość jej zaistnienia, ale i postulowali konieczność jej odbudowania, czego wyraz dali w walbrzyskim przedstawieniu *O dobru* (2012). W finale spektaklu zgromadzeni wokół ogniska widzowie i aktorzy śpiewali hymn kibiców drużyny piłkarskiej z Liverpoolu *You'll Never Walk Alone*, tworząc rodzaj, na razie teatralnej, więzi. W najnowszej sztuce z poziomu rozważań i wątpliwości artyści przechodzą do diagnozy, sugerując, że tylko wspólne działanie i pozytywna energia mogą uchronić przed zmorą pesymizmu.

Pierwszym krokiem wydobywania się z otchłani melancholii jest nabranie dystansu i poczucia humoru, choćby i czarnego, jak się okazuje, istotnego również dla twórców, których ostatnie spektakle utrzymane były w minorowym tonie. Najnowsza premiera rozpoczyna się więc niczym film Hitchcocka – burzą z piorunami, które rozdzierają pikselowe

niebo, rozwieszone jak żagiel nad dużą sceną Starego Teatru w Krakowie. Patronuje jej duch Williama Szekspira, który zresztą pojawia się po sforsowaniu pikających bramek bezpieczeństwa, ustawionych w drzwiach wejściowych na widownię. Przez te bramki przechodzi również publiczność. Lot, katastrofa i seans terapeutyczny, który za chwilę się odbędzie, mają być wspólnym udziałem scenicznych postaci i widzów.

W spektaklu Strzępki i Demirskiego Will Szekspir w kraciastych spodniach i glanach nie ma wiele wspólnego z patronem teatru uwiecznionym na rozmaitych obrazach i reprodukcjach, jest raczej jego przewrotnym zaprzeczeniem. Bohater Krzysztofa Zawadzkiego, popijający piwo i uwodzący kobiety, ani my-

slużący na wspólny posiłek. Marudni, krytyczni wobec towarzyszy niedoli – jeden z nich (Michał Majnicz) zostaje zrugany za kąpiel w morzu – bardziej koncentrują się na tym, co ich dzieli, niż na tym, co ich łączy. Będą jednak musieli przejść swoistą terapię, by przetrwać w tych niesprzyjających okolicznościach, a może nawet zmobilizować się do wspólnego działania. Jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* receptą na uniknięcie złego losu jest opowiadanie. Przywoływane z zakamarków pamięci historie o sile ludzkiej woli mają przybliżyć ich do pozytywnego finału. Autor sztuki, niczym Szeherezada, podsuwa kolej-

namiczną całość, historie płynnie przeplatają się ze sobą, a tożsamości bohaterów subtelnie przenikają. Szekspir w tej opowieści mógłby być przewodnikiem po scenicznym świecie, ostatecznie jednak jego obecność sprowadza się do roli Prospera. Za pomocą słów mogą wywołać burzę, choć tym razem nie morską, i dzięki katastrofie lotniczej sprowadza bohaterów na wyspę.

Sprawna reżyseria i zaangażowanie zespołu powodują, że poszczególne mikronarracje komponują się w dynamiczną całość, historie płynnie przeplatają się ze sobą, a tożsamości bohaterów subtelnie przenikają.

śli zapanować nad dramaturgicznym chaosem. Czasem udaje, że próbuje łączyć pojawiające się wątki i sytuacje, częściej jednak z kpiarskim dystansem przygląda się postaciom, kręcąc się między nimi niczym wirus. Dłużyzny i narracyjny nieporządek zarzuca no zresztą Demirskiemu w popremierowych komentarzach. Uwagi recenzentów były o tyle uzasadnione, że czasami dramaturgiczna maszyna zacina się, a porzuceni przez autora bohaterowie czekają na swój moment lub błakają się po scenie. Sprawna reżyseria i zaangażowanie zespołu powodują jednak, że poszczególne mikronarracje komponują się w dy-

slużący na wspólny posiłek. Marudni, krytyczni wobec towarzyszy niedoli – jeden z nich (Michał Majnicz) zostaje zrugany za kąpiel w morzu – bardziej koncentrują się na tym, co ich dzieli, niż na tym, co ich łączy. Będą jednak musieli przejść swoistą terapię, by przetrwać w tych niesprzyjających okolicznościach, a może nawet zmobilizować się do wspólnego działania. Jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* receptą na uniknięcie złego losu jest opowiadanie. Przywoływane z zakamarków pamięci historie o sile ludzkiej woli mają przybliżyć ich do pozytywnego finału. Autor sztuki, niczym Szeherezada, podsuwa kolej-

ných bohaterów, którzy się nie dali, pokonali trudności, własne zwątpienie i sceptycyzm otoczenia. Wśród nich znajdują się zarówno Rachel Carson (ujmująca Dorota Pomykała), amerykańska biologka, której badania zwróciły uwagę na niszczenie środowiska naturalnego przez przemysł i przyczyniły się do rozwoju ruchu ekologicznego na świecie, jak i Kathrine Switzer (świetna Dorota Segda), pierwsza kobieta, która przebiegła bostoński maraton, mimo że do tej pory zarezerwowany był wyłącznie dla mężczyzn.

Historie i bohaterowie z najróżniejszych zakątków świata układają się w kolaż dobrych myśli i budujących doświadczeń. Ubogi hinduski robotnik, Dashrath Manjhi (Radosław Krzyżowski), z sukcesem wykuje tunel w górze, która oddzielała jego wioskę od szpitala, chociaż zabierze mu to dwadzieścia dwa lata, bo walkę ze skałą będzie toczył za pomocą dłuta i młotka. Z kolei drużynie piłkarskiej z Amerykańskiego Samoa (Małgorzata Zawadzka) dziesięć lat po sromotnej porażce w meczu z Australią – najwyższej przegranej w historii oficjalnych międzynarodowych rozgrywek – uda się wreszcie strzelić pierwszego gola. Głodny Mongolski chłopiec (Marta Nieradkiewicz), przez cały spektakl uganiający się za koniem, który pozwoli mu wygrać wyścig i uratować wioskę od głodu, w końcu

złapie zwierzę. Wreszcie zwolniony z pracy Górnik (Michał Majnicz) ewidentną porażkę przekuje w swój życiowy sukces i za pieniądze z odprawy wybierze się do Indii.

Przywołując historie, w których udało się spełnić nawet naiwne marzenia, twórcy zdają się przekonywać, że zmianę rzeczywistości na lepsze trzeba zacząć od siebie. Pomaga też pasja i chęć pomocy innym, zwłaszcza gdy łączy się z wytrwałością w dążeniu do celu. Czasami decyduje przypadek. Gdyby Rachel Carson w dzieciństwie nie uratowała kaczuszek ze studzienki ściekowej, być może nie zostałaby biologiem. Gdyby Kathrine Switzer, którą próbowano zdjąć z trasy maratonu, bo jako kobieta wystartowała w nim nielegalnie, nie wsparła grupa biegaczy, którzy ochronili ją swoimi ciałami, być może nie ukończyłaby biegu i nie zmieniła historii tego sportowego wydarzenia. Scena biegu jest zresztą jednym z najbardziej komicznych, ale i wzruszających momentów przedstawienia. Gdyby Górnik (Michał Majnicz) nie popłynął z kolegą (Juliusz Chrzastowski) na poszukiwanie zaprzyjaźnionego pingwina (Marcin Czarnik), być może nigdy nie dotarliby na biegun południowy. Wreszcie – gdyby człowiek, który pierwszy rozpałił ogień albo wymyślił koło, uległ presji mal-kontentów, że się nie da, pewnie dzisiaj byłibyśmy w innym punkcie rozwoju cywilizacji.

Zwieńczeniem dywagacji na temat siły wzajemnej życzliwości i roli pozytywnych scenariuszy jest ostatnia scena, która odwołuje się do wydarzeń w Wielkiej Brytanii z czasów Margaret Thatcher. Walijskim górnikom z likwidowanych wówczas kopalni pomagali zbierający dla nich datki londyńscy geje i lesbijki. W zamian górnicy wsparli działaczy ruchu LGBT na paradzie równości w Londynie. W Polsce ta historia jest znana przede wszystkim z filmu Matthew Warchusa *Pride* (2014), tłumaczonego jako *Dumni i wściekli*. Toteż Dumny i wściekły górnik (Juliusz Chrzastowski) zawiera na scenie przymierze ponad homofobicznymi podziałami z reprezentującym środowisko homoseksualne Gays Support The Miners (Krystian Durman). Finałowa piosenka Billy'ego Bragga *There is Power in The Union* w wykonaniu aktorów podkreśla siłę ludzkiej jedności, zwłaszcza że towarzyszy jej entuzjastyczna reakcja widzów. Oczywiście znajdą się też krytykanci w stylu Dickensowskiego Mr Scrooge'a (Marcin Czarnik), którzy dla dobrego samopoczucia popsują innym zabawę. Wszystko jest jednak możliwe – przekonują twórcy, podpisując się niejako pod koncepcją bohaterstwa dnia codziennego profesora Zimbardo – skoro nawet sceptyczna intelektualistka (Anna Radwan) nosi w sobie Disnejowską Wróżkę. ■